



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

(1798 — 1845).

W tym roku w listopadzie przypada setna rocznica urodzin niewiasty, której imię wszyscy nasi czytelnicy znać muszą, a zapewne nie tylko słyszeli jej nazwisko, ale czytali niektóre dzieła jak: „Wiązanie Helenki”, „Listy Elżbietki Rzeszyckiej”, „Rozrywki dla dzieci”.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa, była to jedna z tych kobiet, których na szczęście nigdy nie brakło w naszym kraju, a które całe życie poświęcały rozumnej, pożytecznej działalności, zapominając o sobie i pracowały niezmiernie nad rozpowszechnieniem tego wszystkiego, co dobru ogólnemu służyć może.

Urodziła się w Warszawie w 1798 roku, wkrótce jednak rodzice jej wynieśli się na wieś. Ojciec był czas jakiś sekretarzem księcia Czartoryskiego, musiał być zatem człowiekiem wykształconym i zacnym, bo dwór puławski takich tylko w koło siebie gromadził. Ojciec zmarł młodo, gdy Klementyna miała zaledwie lat siedm.

O dzieciństwie jej mamy mało wiadomości, chowała się po części u panny Szymanowskiej w Izdebnie a później u pani kasztelanowej Połonieckiej, matrony słynnej z wielkich cnót i rozumu.

Młodość jej przypadła na czasy bardzo różne od obecnych. Wychowanie kobiet zwłaszcza, było zupełnie odmienne od tego, czem jest dzisiaj. Panienki uczyły się wówczas tak nie wiele, iż nauką nazwać to trudno. Za rzecz najważniejszą uważano naukę francuskiego języka. Istniał bowiem ogólnie niedorzeczny zwyczaj wyłącznego używania tego języka, nawet w domu i najbliższym kółku rodzinnem, tak, iż wiele kobiet ówczesnych prawie nie znało własnego języka i nie umiało się nim wyrażać. Reformę w tym względzie panna Tańska zaczęła od samej siebie; zrozumiała jak niedokładną była jej znajomość ojczystego języka, wzięła się więc do czytania dawnych wzorowych dzieł polskich: Skargi, Jana Kochanowskiego, Górnickiego, a z bliższych wczytywała się w Krasickiego a szczególnie Woroni-



Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

cza, który nie ustępował pięknością języka autorom tak zwanego złotego wieku. Tym sposobem nie tylko nauczyła się dobrze pisać po polsku, ale wykształciła swój smak literacki i wyrobiła sobie sąd zdrowy, oparty na porównaniu tych autorów z modną literaturą francuską, która chociaż modna, nie mogła się równać z poważną literaturą naszą.

Zawód swój autorski rozpoczęła Klementyna mając zaledwie lat osmnaście, a pełna zawsze skromności pisać zaczęła pod imieniem „Młodej Polki”. Pierwsza jej książka, był to zbiór rad dla dziewcząt, jakoby przez umierającą matkę zostawionych córce pod tytułem: „Pamiętka po dobrej matce”. Książka pełna zacności, bogobojności i rozumu, podobala się powszechnie, tak, iż musiano przedrukowywać ją kilkakrotnie, odrazu też przyniosła swojej autorce sławę, a co więcej, dała szerokiemu ogółowi poznać jej poglądy.

Klementyna, ciesząc się, że pożyteczna ta książka rozpowszechniła się szybko, na następnych podpisywała się już „Autorka pamiętki po dobrej matce”.

Najmilszem zadaniem życia Klementyny było nauczanie. Zajmowało ją całe młode pokolenie kobiet, bo czuła jak wiele zależy od dobrych matek i nauczycielek. Dla tego też jako dalszy ciąg „Pamiętki po dobrej matce” napisała: „Amelia matką”. Amelia była to owa córka, do której matka zwracała swe nauki; w tej drugiej książce wskazywała autorka jak Amelia z tych rad skorzystała i jak według nich wychowywała swoje dzieci.

Młodsza siostra Klementyny Tańskiej poszła za mąż i miała córeczkę Helenkę, dla której rozumna i kochająca ciocia napisała najprzód „Wiązanie Helenki”, przeznaczone dla bardzo małych dzieci, a następnie „Drugie wiązanie” dla trochę starszych.

„Wiązanie Helenki” znaczy prawdziwą epokę w ogólnem naszym wykształceniu, gdyż była to pierwsza polska książka nie naukowa dla małych dzieci, które do tego czasu dla rozrywki albo czytały po francusku, albo nie czytały wcale.

Po Helence napisano mnóstwo książek w tym rodzaju, niektóre nawet pilnie ją naśladowały, można jednak śmiało powiedzieć, że żadna jej nie dorównała, żadna nie była tak przystępną i zajmującą dla małych czytelników i równocześnie tak pożyteczną.

Zachęcona przyjęciem jakie znajdowały jej dzieła, Klementyna Tańska zaczęła wydawać pismo peryodyczne dla młodzieży: „Rozrywki dla dzieci”, które miały wielkie powodzenie. Zajęcia jednak literackie nie oderwały autorki od czynnego życia. W r. 1825 ówczesna Komisya Oświecenia, mianowała Klementynę Tańską nadzorczynią i wizytatorką szkół żeńskich w Warszawie, zajmowała się więc niemi gorliwie. Za jej wpływem wykształcenie kobiet postąpiło znacznie, zaczęto uczyć dziewczęta historyi, własnego języka, własnej literatury, a co najważniejsze, nadano wychowaniu kierunek praktyczny.

W 1829 r. Klementyna Tańska poślubiła historyka Karola Hofmana, który umiał ocenić jej rozum i wielkie zalety. Pani Hofmanowa udała się z mężem za granicę i wraz z nim osiadła w Paryżu. Pisała teraz bardzo wiele zawsze w tym samym duchu, a pomiędzy innemi kilka powieści: Karolinę, Krystynę, Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu. W dwóch pierwszych skreśliła wzór, jaką ma być kobieta w małżeństwie a jaką, jeżeli za mąż nie pójdzie. W Janie Kochanowskim, na tle życia wiejskiego poety, dała wdzięczny obraz wiejskiego dworu w XVI wieku, jego wyglądu, charakteru, zajęć, obyczajów i rozrywek.

Liczna dziatwa Kochanowskiego występuje w tej powieści; ze szczególnem zamięłowaniem autorka opisuje cudowne dziecię — Urszulkę i jej śmierć, która zostawiła w sercu

ojca żal wieczny i wywołała jeden z najpiękniejszych jego utworów — „Treny”.

Napisała jeszcze Hofmanowa „Święte niewiasty” i wiele dzieł wychowawczych i moralnych, oraz „Nowe rozrywki dla dzieci”; bo do tego rodzaju literatury miała zawsze zamiłowanie. Śmierć przecięła zbyt wczesnie pasmo tego pracowitego i pożytecznego życia.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa umarła w Passy pod Paryżem w r. 1845, opłakiwana najwięcej przez tych, co mieli sposobność ją poznać i widzieć, jak zasady swoje stosowała w życiu, zawsze skromna, dobra, czynna, gotowa była zapomnieć o sobie dla drugich, i nie myśląc nigdy o własnych zasługach, umiała ocenić je i uczcić u innych.

Pamięć jej pozostanie na zawsze wrytą w historii naszego umysłowego rozwoju, a każda kobieta odbierająca dzisiaj staranne i praktyczne wykształcenie, z wdzięcznością myśleć powinna o Klementynie, która pierwsze kroki uczyniła w tym kierunku i tym sposobem utorowała drogę następnym pokoleniom.

W. M.



Zofia Kowerska

## DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— To niech się ona wprzódy za mną rozmówi! Ze mną źle mieć do czynienia, bo ja mam silne pięści!

— Nie ustępuje ona i przed silnemi pięściami.

— No, będziemy ją odpędzać, jak będziemy mogli. Niech tylko pani będzie dobrej myśli, bo wesołość i myśl swobodna, to też lekarstwo. Nie jest pani opuszczona. Ma pani tego dobrego Józika, ma pani życzliwych ludzi...

Ile razy Wesołowski odwiedził panią Warbicką, tyle razy raźniej na duszy i ciele jej się robiło. Zdawało się, że Wesołowski udzielił jej trochę swojej młodości i zdrowia.

Józik z coraz gorszym wstrętem chodził do Piotrowej odbierać potrochu swoje pieniądze. Pokazało się, że to była niedobra kobieta, która myślała, że obietnica oddania pieniędzy, to to samo, co pieniądze. Wreszcie musiał się w to wdać Wesołowski, który Piotrowej opowiedział tak jak i pani Warbickiej o swoich silnych pięściach. Kapaninę wreszcie Józik odebrał swoje. Gdy odchodził, resztę długu prośbą i groźbą wycisnąwszy z Piotrowej, ujrzał Walka, który mu pogroził i zębami zgrzytnął.

Potem spotkał kilka razy tego włóczęgę około domu, w którym mieszkała pani Warbicka. Bał się o Bosego, więc ile razy wychodził zamykał drzwi na klucz, który brał z sobą. Bosy musiał leżeć na sienniku i nic nie pomogło choć drapał do drzwi i spinał się łapami na klamkę.

Ale raz Bosy idąc po schodach za Józikiem, usłyszał nagle miauknięcie kota, rzucił się w podwórce, głuchy na wołanie Józika, nie zdolny oprzeć się pochłaniającej go żądzy uskubnięcia nieprzyjaciela. Józik pobiegł za Bosym i ujrzał Walka, rzucającego kamieniami na psa. Bosy mając zagrożony odwrót, rzucił się ku bramie i wyskoczył na ulicę. Za nim pobiegł Walek z kamieniem w rękę, a za nimi przestraszony Józik. Było to jeszcze bardzo rano, słońce zaledwie zaczęło się ukazywać a więc chwila w której Bosy nigdy się na ulicy nie pokazywał, bo czuł przejście czyszcicieli

Tego dnia właśnie się zdarzyło, że furgon ich i oni sami znajdowali się w pobliżu i uciekający Bosa, któremu kamień rzucony przez Walka przetrącił nogę, poczuł nagle wkoło szyi duszący sznur i zrozumiał, że wszystko dla niego było już skończone. Pomyślał o swej pani, pomyślał o Józiku i Wojciechowej i być może postanowił, że gdyby teraz nadzwyczajny wypadek uratował mu życie, toby już nigdy za kotami nie gonił, bo to było początkiem jego zguby.

Walek śmiał się, patrząc na Bosego, którego oprawcy rzucili do furgonu, mieszczącego już niejedną ofiarę. Józik widział zdala jaki los spotkał biednego psa. Podbiegł do furgonu i błagać począł o życie Bosego.

— Sameś sobie winien — odparł mu człowiek — poco puszczasz psa samopas bez obroży.

Skończyło się na tem, że Józik dał jednemu z tych ludzi szczyryk, który niedawno dostał od Aliganta, drugiemu dwa złote, za które miał kupić lekarstwo dla pani Warbickiej i nareszcie Bosa wyjącej żałośnie, ujrzał na nowo światło dzienne. Trzymając się nóg Józika na trzech łapach, bo na czwartą stanąć nie mógł, dostał się nareszcie na swój siennik, na którym spocząwszy, patrzył na Józika rozdzierającym wzrokiem, w którym był wyraz cierpienia, pokory, wdzięczności i skruchy.

Józik opowiedział całe to wydarzenie pani Warbickiej a pies rozumiał, że o nim mówiono i chwilami pomrukiwał żałośnie.

W ciągu dnia dostał silnej gorączki. Nie ruszał się wcale z siennika, nie jeść nie chciał, pił tylko wodę łapczywie. Łapa coraz bardziej puchła i pani Warbicka przypuszczać zaczęła, że była zgruchotana. Ile razy Józik jej dotykał, tyle razy pies skomlał. Widocznie było źle, i zapewne byłby już kaleką pozostał na całe życie, gdyby nie Wesołowski, który tego dnia odwiedził chorą. Zbadał on dokładnie przetrąconą nogę i oświadczył, że jest potrzebna operacja.

— Ale przedtem, dla mojej spokojności, proszę o zwołanie konsylium — dodał tak poważnie, jakby chodziło o człowieka.

— Konsylium?

— Tak pani, i nawet wymienię kolegów, których chciałbym widzieć przy łóżku... przy sienniku pacjenta. Pragnę, by wezwani zostali kolega Płaksa i kolega Aligant, z którymi, jeżeli potwierdzą moją opinię, dopełnię nad pacjentem operacji pod chloroformem. Ludzi jeszcze ani leczymy ani operujemy, ale Bosemu mamy prawo udzielić światłej naszej rady i skutecznej naszej pomocy.

Ustawiono stół na strychu, w składziku należącym do pani Warbickiej. Pod wieczór zjawili się studenci i po naradzie prowadzonej po łacinie, z której ani pani Warbicka ani Józik nie rozumieli ni słowa, przeniesiono Bosego na strych i przystąpiono do wyjęcia z łapy pogruchotanej kości. Józik trzymał chloroform przy pysku pacjenta, Aligant trzymał rękę na jego psiem sercu, a Wesołowski z Płaksą wyjęli połamane kości, ogipsowali, owinęli bandażem i Bosa na swój siennik przeniesiony został.

Cierpienia jego były długie, lecz powstał zdrów zupełnie i nawet wkrótce ślady lancetu pokryły się bujnym włosem. Wojciechowa pamiętała o biedaku przez cały ciąg jego choroby, wstał więc lśniący i tłusty, bo do utycia dopomógł mu zupełny brak ruchu.

\* \* \*

Przeszła wiosna a nastąpiło bardzo skwarne lato. Studenci przebywali ostatnie egzamina, pocili się nad książkami, ślęczyli nad niemi po nocach, pomizernieli i pobledli, ale nareszcie męka ich się skończyła. Wszyscy trzej złożyli egzamina bardzo świetnie i wyjechali z Warszawy na wakacje do rodziców dla odpoczynku, już jako skończeni lekarze. Józikowi ogromnie pusto bez nich się zrobiło. Wynieśli się ze swego mieszkania zupełnie, trochę starych gratów, niepotrzebnych książek i kajetów, zostawiając Józikowi. Ten spieniężył spieszenie wszystko, bo gospodarz domu, w którym

mieszkała pani Warbicka, groził wyrzuceniem jej i Józik musiał go choć kilku rublami zaspokoić. Nie wykonał przecież swej groźby. Pani Warbicka ustąpiła sama. Pewnego dnia posłała Józika po księdza, wypowiadała się i ostatnie Sakramenta z rąk jego przyjęła, a wieczorem tego samego dnia już nie żyła.

Urządzeniem pogrzebu zajęła się Wojciechowa. Józik, za ostatni grosz jaki posiadał, kupił trochę kwiatów na trumnę, za którą idąc, uczuł się strasznie samotnym. Oto odchodziła od niego opiekunka, która go jak własne dziecko kochała i obok niego idący Bosa, był na tę chwilę jedynym towarzyszem jego. Józik płakał żałośnie i sam jeden z kościółka na Powązki zmarłą swoją opiekunkę odprowadził, modląc się gorąco do Boga, za spokój jej zacnej duszy i błagając go o opiekę nad sobą. Wojciechowa nie mogła się od swoich zajęć uwolnić, a Wesołowski, który byłby poszedł niezawodnie, był daleko.

Żał nie pozwolił Józikowi myśleć z początku o sobie. Dopiero gdy po powrocie z pogrzebu wszedł do pokoju, w którym z panią Warbicką mieszkał i zobaczył go pustym zupełnie, okropna rzeczywistość groźnie stanęła przed nim. Stróżowa z miotłą i ścierką kręciła się po dobrze znanych mu kątach i zawołała ujrawszy Józika:

— Trochę tych tam rupieci co po nieboszczce zostało, gospodarz kazał znieść do składziku i kazał ci powiedzieć, że ci ich nie wyda, aż mu oddasz 12 rubli, coś mu winien za mieszkanie!

Józik osłupiał zupełnie, Bosa zaś stanawszy w progu pustego pokoju, zaczął wyć tak żałośnie, że stróżowa poczęstowała go uderzeniem miotły i wykrzyknikiem:

— A nie pójdziesz ty stąd, ty szkaradniku!

— Gdzież ja się teraz podzieję? — zawołał żałośnie Józik.

— Ha, nie ty pierwszy i nie ostatni! — odparła stróżowa.

— Prawda — pomyślał Józik — nie ja pierwszy i nie ja ostatni! Dużo jest sierot na Bożym świecie gorszych niżeli ja, a przecież Bóg miłościwy zginąć im nie daje. Są chorzy, są kalecy, są maleńkie dzieci głodne! Ja mam przeciw zdrowie i trochę już siły i z łaski pani Warbickiej znam katechizm, czytać, pisać i rachować umiem! I mam tego poczęstowego psa!

Bosa, jakby odgadł myśli Józika, wspinał się na niego, patrzył mądrymi oczami, wreszcie zaszczeakał, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Panie, ja tu jestem!

Józik zwrócił się do stróżowej:

— Pan gospodarz kazał znieść wszystko do składziku... ale tam są także moje koszule i trochę odzienia. Poproszę go żeby mi choć to oddał.

— Daremnie będziesz prosił! On nie z takich, o to na prośby uważają! Wreszcie i on musi swego pilnować! I jemu z podatkami nie poczekaają. Kazał powiedzieć, że nie odda!

Józik zwiesił głowę i zwrócił się ku schodom, schodził powoli, jakby miał nogi z ołowiu, a on tylko miał głowę pełną smutnych myśli i ciężko mu było na sercu. Gdy się znalazł w bramie, usiadł na ławce, na której siadał zwykle stróż, i głowę ująwszy w dłonie zadumał się głęboko. Był strasznie zmęczony. Posługi przy umierającej, pogrzeb, płacz, żal, wszystko to wyczerpało jego siły.

— Żeby się tak wyciągnąć gdzie na jakiej wiązecie słomy — myślał biedny Józik — i leżeć, choć z godzinę, bez ruchu!

I nagle mimo, że nigdy wsi nie widział i znał ją tylko z opowiadań pani Warbickiej, zatęsknił za nią. Z ulicy dochodził ciągiły odgłos toczących się po bruku kół, jakichś dwóch ludzi kłóciło się z sobą na dziedzińcu, a Józik chciałby mieć wkoło siebie ciszę zupełną i zieloną łąkę pod stopami i mógł się rozciągnąć na murawie...

Z zadumy wyrwał go Bosa, który go po rękach zakrywających twarz lizać począł.

— W mieście tyle, tyle ludzi! — pomyślał Józik — a człowiek jest jak na pustyni, bo niema do kogo udać się po ratunek!

Ledwie to pomyślał, już poczuł, że był niesprawiedliwy. To tylko żal tak mi ludzi niesprawiedliwymi czyni! Przecie byli dobrzy ludzie! O i jacy dobrzy!

Wstał i poszedł na schody wiodące do kuchni, gdzie rządziła Wojciechowa.

— Przecie żeś przyszedł! — zawołała kobieta. — Obiad ci wystygnie! Jużci ja sama biedna i nie przelewa się u mnie, ale póki tam sobie gdzie jakiej służby nie znajdziesz...

(d. c. n.)

sklepienia, biegną dwa koła bicyklu, uciepione wiązaniem żelaznym, które również toczy się na maleńkich, niewidzialnych kółkach. Dla zwiększenia wrażenia, jeździec, opierający się na mocnym i nieruchomym kierowniku bicyklu, jak na trapezie, trzyma w zębach sznur, na którym zawieszają się jego towarzyszy.

Trudno nazwać tę jazdę przyjemną i bezpieczną, pomimo, że pod gimnastykami zawieszona jest siatka.

## Kościół św. Antoniego w Padwie.

W niewielkiej odległości od Wenecyi, a więc w północno-wschodniej części Włoch, leży starożytne miasto Padwa, zwane przez Rzymian Patavium, nad rzeką Bacchiglione. Liczy ono obecnie około 75000 mieszkańców, a oprócz kilku pięknych gmachów i kościołów z epoki średniowiecznej, posiada starodawny uniwersytet, do którego przed kilku wiekami uczęszczało w młodości wielu znakomitych cudzoziemców, między innymi Jan Zamojski, Stefan Batory i Jan Sobieski; jest tu również wspaniały kościół, wzniesiony w XIV, ku czci słynnego cudami patrona miasta, świętego Antoniego Padewskiego.

Święty Antoni urodził się w Lizbonie w r. 1195, jako syn zamożnej rodziny szlacheckiej. W młodym wieku wstąpił do zakonu Franciszkanów i poświęcił się żarliwie służbie Bożej, nauczając, a zwłaszcza pomagając biednych i cierpiących. Swą świętobliwością i nadzwyczajną łaską Boską, której za życia Bóg mu udzielał ku ratowaniu i wspomoczeniu wielu nieszczęśliwych, zyskał sobie ogólną miłość i cześć wśród wiernych, a w rok po śmierci, która nastąpiła w Padwie dnia 13 czerwca 1231 roku, uznany został za świętego.

Rychło też Padwańczycy zaczęli przemyślać nad zbudowaniem wspaniałej świątyni dla uczczenia swego patrona i przeniesienia jego grobu, do którego jak wówczas tak i dzisiaj, licznie ze wszystkich krajów świata przyjeżdżają pielgrzymi.

W ciągu stu lat (między 1256 i 1350 r.) stanął kościół, przedstawiony na rycinie naszej, a łączący dwa style: w części bizantyjski według kościoła św. Marka w Wenecyi, w części gotycki.

W lewej nawie poprzecznej znajduje się wielce ozdobna kaplica, gdzie pod ołtarzem spoczywają zwłoki świętego Antoniego. Ściany tej kaplicy pokrywają znakomite marmurowe płaskorzeźby, przedstawiające głównie jego cuda. W kościele znajduje się wiele kaplic i ołtarzy, między innymi ołtarz św. Stanisława biskupa, fundowany w roku 1607 przez Mikołaja Ossolińskiego za staraniem studentów Polaków.

Obecnie dla uczczenia ubiegłej w r. 1895 siedemsetnej rocznicy urodzin świętego Antoniego, rozpoczęto odnowienie całego wnętrza kościoła, z zamiarem przywrócenia w całej czystości pierwotnego stylu z XIV wieku. Z tego powodu wiele później powstałych kaplic i ołtarzy, a w ich liczbie i ołtarz św. Stanisława, ulegnie przeróbce, którą kieruje miejscowy spowiednik polski, ksiądz Warchał.

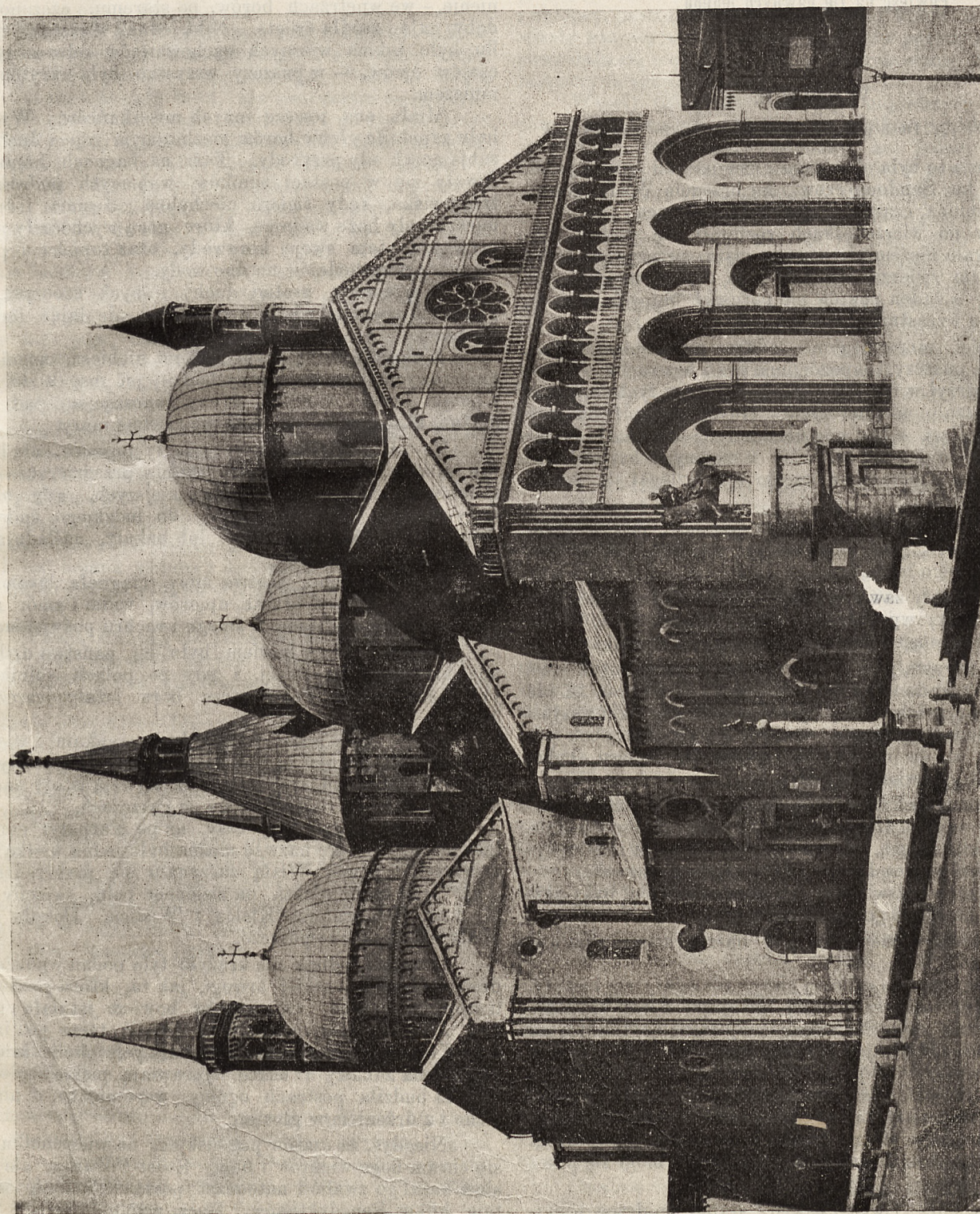
Konny posąg przed kościołem dłuta słynnego rzeźbiarza Donateliego, wyobraża wodza weneckiego Gattamelatę, który w XV wieku ocalił posiadłości tej rzeczypospolitej od napadów książąt medyolańskich. Padwa bowiem po dwuwiekowym niezależnym istnieniu, jako jedno z miast związku lombardzkiego, w r. 1405 przeszła pod władzę Wenecyi i od tego czasu dzieliła losy tego grodu.



## POD STROPEM CYRKU.

Nader trudne a niebezpieczne ćwiczenie, jak widać z załączonej ryciny, przedstawiają obecnie w cyrkach dwaj sztukmistrze. Żałować należy, że są ludzie, którzy poświęcają niemal całe swe życie na kształcenie się w sztukach karkołomnych, a nie przynoszących nikomu żadnego pożytku, jednak służą one za dowód, do jakiej zręczności i siły można dojść, pracując usilnie w jednym kierunku.

Jeździec, jak widzimy, jedzie na rowerze do góry nogami, pod stropem cyrku. Po szynie, umocowanej silnie do



Kościół św. Antoniego w Padwie.

Marya Łopuszańska.

## OBRONCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

W S T Ę P.

...Duch puszczy szumiał nad dzikim przestworem

A puszcza to była olbrzymia i ciemna; od gór Łysych aż do Kielc, ku Sandomierzowi, ku brzegom Wisły starej, wyciągała ramiona, czarna, nieprzebyta, milcząca.

Bo gdy po wierzchołkach rozbiły się wichry, wewnątrz panowała niczem niezmacona cisza, przerywana tylko niekiedy rykiem zwierza lub łoskotem drzew, upadających ze starości; — a żaden powiew nie poruszył bujnych paproci, i innych roślin wzrastających u ich stóp.

Ciemności, nierozjaśnione żadnym promieniem słońca, zaległy głębie puszczy, napozór martwe i bez ruchu; — lecz ktoby się wpatrzył w nie bliżej, poznałby, że w tych mrokach wilgotnych wrzało ukryte życie. Gdyś nastąpił na stos zmruszałych gałęzi, z pod nóg uchodziły ci obmierzłe jakieś gady, spiesząc co prędzej skryć się w ciemnych kryjówkach. Krzyk ptactwa drapieżnego często też rozlegał się ponad wierzchołkami drzew.

Niedźwiedź, żubr, tur siwy, o grzbiecie, przerzniętym ciemną pręgą, dzik i ryś centkowany, oto byli mieszkańcy i królowie czarnego boru.

Gdy nastawały zawałne zimy, stada wilków, liczące po sto i więcej sztuk, wpadały na wsie, stojące wśród lasów i siedlacy nieraz musieli z nimi staczać krwawe walki.

Drzewa dorastały w owe czasy do niewidzianych dziś rozmiarów, tak co do objętości, jak i co do wysokości. A nie rosły, jak teraz, przeważnie w jednym gatunku, ale wszystkie prawie odmiany północne wznosiły się zgodnie obok siebie, od dębu aż do modrzewia, od jesionu do cisu, buka, sosny, klonu, lipy, świerka i jodły.

W mrokach tych bezustanku poruszały się jakieś stworzenia, które mogło rozpoznać tylko oko, obyte z ciemnością, wciąż tu panującą. Kuny i łasice, borsuki i żbiki wyskakiwały z pod nóg wędrowca i kryły się w gąszczach.

Powietrze, nieodświeżane przewiewem wiatru, było ciężkie i przesycone wonią gnijącej roślinności.

Ale całkiem inaczej było, gdy burza rozegrała się nad puszcza.

Wówczas, miasto głuchej ciszy, rozlegały się łoskoty, powtarzane przez odwieczne echa ciemnego boru; stuletnie drzewa waliły się, ciężarem swoim przytłaczając towarzyszy i tym sposobem odkrywając znaczne przestrzenie; błyskawice rozświetlały wnętrza nieprzebytych wertepów, nietkniętych nogą ludzką, — bo owe puszcze olbrzymie przyciągały straszne burze, które tu szalały z niesłychaną wściekłością, na długo pozostawiając ślady swego przejścia i robiąc często drogi szerokie, tam, gdzie dawniej zwierz zaledwie mógł się przez gąszcze przecisnąć.

Olbrzym burz, Świst-Poświst, stapał po drzew wierzchołkach, uginających się pod jego nogą, jak kłosa.

Te to burze robiły puszcze jeszcze bardziej nieprzebytą, bo zawały ją stosami łomu i pniami obalonemi, co sprawiało, iż w niektórych miejscach niepodobna było przejść człowiekowi, gdyż gałęzie, jak kłęby poplątanych węzów, więziły mu stopy.

A jednak, pomimo to wszystko, puszcza, przynajmniej na krańcach, miała swoich mieszkańców. Byli nimi drwale i łowce, zamieszkujący od urodzenia te głuche wnętrza boru

i tworzący osobne osady, rozłożone u skraju lasu nad wodami.

Samotność jednak, nieustanne obcowanie z dziką przyrodą i ze zwierzem leśnym była przyczyną, iż sami nie różnili się od tego ostatniego. Głuche chodzący wieści, że pomimo, iż upłynęło już lat kilkadziesiąt, jak Mieczysław i Dąbrówka zaprowadzili chrześcijańską wiarę, a król Bolesław, obecnie panujący, usilnie starał się o utrzymanie jej i rozprzestrzenienie, — we wnętrzach borów, po staremu, czczono jeszcze dęby, gaje i źródła święte. Nikt jednak stwierdzić nie mógł, ilu było takich wiernych zachowawców odwiecznych obyczajów ojców, — w puszczy wszystko było ukrytem i tajemniczem.

Miała ona jeszcze innych mieszkańców. Wyobraźni ludu zapełniła głębie borów niezliczonym rojem duchów, sabiających siły przyrody. Tam na bagnach błędnie zwały się w postaci ogników, wabiących podróżnego na trzasańska, kędy śmierć niechybna. Jeziora i źródła zamieszkiwały hoże wodnice, które nocą wychodziły na brzo prowadząc tam swoje korowody, oraz topielce i pluskociągające przechodniów na dno wody.

Wertepnicy, psotne duchy leśnych uroczysk, nie po całych nocach wodziły wędrowców, nie dając im przy do domu.

A skoro miesiąc wypłynął na niebiosa, nocnice o motoperzowych skrzydłach przychodziły pić rosę z ziół leśnych, a potem leciały w różne strony, unosząc się nad sennymi ludźmi, ukazując im sny straszne i nocne mary.

To też, gdy cienie nocy zaległy puszcze, nie było wie śmiałka, coby się ważył przez nią przedzierać. — Strach zabobonny zdejmował najodważniejszych, gdy olbrzymie sowy-puhacze, głosem zupełnie do ludzkiego śmiechu podobnym, chichotały po lesie, lub hukwały, naśladując hasło nawołujących się drwali.

A gdy Marana, bóstwo zimy, ciągnęła lasami, towarzyszył jej ponury orszak upiórów, widm i zmór nocnych, lecących wraz z tumanami śniegu i wichru poświstem.

Tam w puszczy bowiem było jej państwo dzikie, tam ona królowała najdłużej, i gdy po polach rolnik dawno już ziemię orał, we wnętrzu boru leżały jeszcze zasy śnieżne.

Zatem mgły białe otulały bory, rankami i wieczorami wszystkiemu dokoła nadawały fantastyczne kształty; i przysiągłbyś, że wśród tych tumanów pływają istoty nadprzyrodzone, a całe ich roje lęgną się po gąszczach.

W owej epoce kraj cały, aż po Karpaty, porosły był lasami; Małopolskę nazwać można było jedną wielką puszcza, która tylko ponad Wisłą zaczynała się przerzedzać i osiedlać. Jak białe punkta na zielonem polu, świeciły zdaleka Kraków, Sandomierz, Kielce i Wiślica. Dokoła zaś szumiały niezbrodzone puszcze.

O żadnej jednak nie krążyło tyle podań i powieści, żadna nie budziła takiej trwogi, jak ta, która rozciągała się u stóp gór Łysych. Od wieków bowiem istniało przekonanie, iż na najwyższym szczycie, znanym teraz pod imieniem Ś-to-Krzyżkiej, czarownice z najdalszych okolic kraju zbierają się na zabawy i harce wyprawiają piekielne; — to też góra ta budziła postrach ogólny, wspomniano o niej tylko cicho i z drżeniem w głosie.

Niegdyś, za czasów pogańskich, na wierzchołku wznosił się chram boga wiatrów i burzy: Świst-Pośwista, ale Mieczysław kazał go zwalić i natomiast postawić kościół, osadzając tam kilku Benedyktynów. Lecz poganie zburzyli wkrótce świątynię, zakonnicy zginęli męczeńską śmiercią i na wierzchołku góry piętrzył się tylko stos gruzów. Stała się ona znów pogańską i szerzyła nadal tajemniczą grozę dokoła.

Twierdzono, że wśród nocnych tumanów ukazywały się jakieś migotliwe ognie, to gasnąc, to zapalając się znowu. Szczególnie od niejakiego czasu owo tajemnicze światło coraz częściej purpurowym płaszczem odziewało szczyt góry i prawie co nocy, jeśli wierzyć ogólnym pogłoskom, ciemności rozdarły się krwawą łuną w tej stronie.

Słyszając to, jedni żegnali się pobożnie, inni zaś, jakby nie chcąc się wydawać z tem, co wiedzą, zachowywali wiele znaczące milczenie.

Cudowna opowieść o Łysej górze, zasnutą w to pasmo podań, spłotła w jeden wieniec ów świat czarów i bajek ze świtem nowej ery chrześcijańskiej, a krążąc długo z ust do ust, powtarzana z poszanowaniem i trwogą, niby nie złota rozświecała ciemnie owych zamierzchłych wieków, aż w postaci legendy doszła do naszych czasów.

A brzmiała ona w ten sposób:

Król Chrobry bawił wówczas wraz z dworem w Kielcach, gdzie w odwiedziny do niego przybył siostrzan, król-wicz Emeryk, syn Stefana węgierskiego. Było to książe pobożne i dbałe o chwałę Bożą, ale zwyczajem ówczesnym, jak wszyscy mężowie, namiętnie zamięłowany do łowów. Razu jednego, kiedy obaj z królem Bolesławem, oddając się zabawom łowieckim, przetrząsali puszcze okoliczne, król-wicz, odłączony od swego orszaku, zbłąkał się, pogoniwszy za zwierzem. Długo tak błądził po ciemnym borze, aż w końcu koń go zaniósł do stóp wyniosłej góry, pokrytej lasem i gęszczą nieprzebytą, — była to góra Łysa. Król-wicz wiedział, jakie podania krążyły o niej, ale pobożny i mężnego serca pan, nie bał się czarów i postanowił piąć się aż na sam szczyt góry. Owóż, gdy już był niedaleko wierzchołka, stanął nagle koń jego, jak wryty, drżąc z trwogi, jak gdyby dokoła siebie czuł coś nadprzyrodzonego, — i mimo wszelkie nalegania król-wicza, który, zeskoczywszy, bił go i zachęcał, z miejsca ruszyć się nie chciał.

W końcu Emeryk przypomniał sobie wszystkie wieści, krążące o tem miejscu, uczuł dziwną trwogę i trzykroć przeżegnawszy się, polecał Bogu, — gdy nagle, nad głową jego dał się słyszeć głos uroczysty:

„Ani koń twój, ani ty stąd nie wyjdiesz, dokąd nie złożysz tu, co masz najdroższego przy sobie.”

Padł na kolana pobożny król-wicz i w świętej trwodze, domyślając się, że głos ów był głosem z nieba, z pokorą zawołał:

— O, Panie, ślubuję, iż złożę tu, co mam najdroższego, a tem jest szczytek krzyża Twego Boskiego Syna, niech tylko stanie w tem miejscu dom, poświęcony Twojej chwale.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy urok znikł natychmiast, koń, posłuszny, ruszył z miejsca i król-wicz, szczęśliwie do Kielc powróciwszy, opowiedział Bolesławowi całą swą przygodę, a król przejęty tym cudem, przyrzekł uroczyste, iż zbuduje kościół na Łysej górze.

ciągle jednak boje i inne przeszkody, nie dały mu spełnić obietnicy i choć już kilka lat upłynęło od owego wydarzenia, nie rozpoczęto jednak budowy kościoła. Tymczasem Łysa góra, po dawnemu, budziła u ludu postrach i grozę. Posępna, ukryta w mgły białe, ponad całą okolicę wznosiła szczyt swój, pełen tajemnic i czarów.

## I.

Odwiecznym zwyczajem u Polan i Chorbatów było, że gdy następowała wiosna, obchodzono święto Marany, czyli Marzanny.

Duchowieństwo nie mogło, po wprowadzeniu chrześcijaństwa, wpłynąć na zarzucenia owego zwyczaju, gdyż wywołałoby to oburzenie między ludem, całym sercem przywiązanym do dawnych obchodów. Długo też niektóre z nich się zachowały, chociaż nawet zatracono pojęcie o ich starożytnem znaczeniu.

Jednym z takich, był obchód Marzanny, czyli Marany, odprawiany jeszcze później, przez długie wieki \*).

Tegoroczna wiosna była piękna i wczesna; na Wiśle lody puściły prędko, w puszczy pękały pączki na drzewach, stada sarn i jeleni wychodziły się kapać w leśnych wodach,

łoś ocierał nowe rogi, niedźwiedź wychodził z legowiska, ptactwo budowało sobie nowe gniazda na gałęziach drzew.

Król Chrobry znów zjechał do Kielc ze swoim dworem, sprawiając nieraz osobiście sądy, na które zbiegano się wsząd, by oglądać oblicze monarchy.

Ludzie przygotowywali się tymczasem do obchodu Marany, mającego się odbyć w pobliżu grodu, na rozległej równinie, pod lasem. W przededniu jeszcze ciągnęły wielkie gromady ludu z zapasami żywności; szły naprzód dziewczyny i chłopcy, postrojeni odświętnie, dalej starsi mężowie i niewiasty wszyscy weseli i pełni nadziei, bo pogoda nazajutrz zapowiadała się pięknie, a według niej rokowano jakie ma być rozpoczynające się lato.

Wesoły tłum, zgromadzony z najdalszych okolic, obzował na równinie, rozpaliwszy wielkie ogniska. — Nazajutrz dzień wstał jasny i pogodny, ani jednej chmurki na niebie, ani najlżejszego technienia wiatru w powietrzu.

Obszerna równina, porośła zieloną, dotychczas niezdeptaną stopami zgromadzonych murawą, rozciągała się aż do lasu, którego czarna ściana widniała w dali, przez pół jeszcze przesłonięta porannymi mgłami. Wiosenny świergot ptactwa rozlegał się po gajach, tysiące much, komarów, wznosiło się w powietrzu, hrzącąc cieniutkim głosem i ciesząc się jasnym słońcem; od czasu do czasu trzmiel przeleciał, nucąc grubym basem i milkł nagle, usadowiwszy się na wonnym kwiecie, z którego miód słodki wysysał. W pobliskim potoku rechotały żaby różnemi głosy, a bąk wodny huczał, zanurzony głowę w mule. Stosy pieczywa wznosiły się na murawie, dalej stały beczki z miodem, u ognisk zaś pieczono mięso na wielkich kamieniach.

Dziewczęta zabrały się do przystrojenia bałwana Marany w kwiaty i wstęgi, czemu towarzyszyły pieśni i śmiechy wesołe.

Dziady gęślarze, krążyli wśród tłumu, przygrywając na gęślach, a choć wzbronionem było śpiewać pieśni pogańskie na cześć bogów, odzywały się one po dawnemu, bo lud nie był zdolnym zapomnieć o przedmiotach czci odwiecznej.

Czasami wśród zgromadzenia ukazywały się dziwne jakieś postacie mężów o twarzy surowej i zaróżnionej, odziane w skóry sierścią na wierzch, z łukami na plecach. Spoglądali oni dokoła siebie wzrokiem dzikim, jakby coś niedobrego zamyślając. Ludzie szeptali między sobą, że to są łowcy i drwale, mający osady w puszczy łysogórskiej.

Wreszcie dziewczęta przystroiły bałwana Marany w co która miała najpiękniejszego, więc w szklane paciorki, chustki, wstęgi i wieńce, postawiono go w środku koła i kazano podtrzymywać dwóm małym chłopcom, nader dumnym z tego obowiązku, a dziewczęta wzięwszy się za ręce w koło, rozpoczęły śpiewy i tańce.

Piosnki były to weselsze to, smutniejsze, w ogóle jednak przebijająca się w nich radość, że panowanie zimy już skończone, że krasna wiosna nastąpiła, ciesząc ludzi i zwierza wszelkiego.

Reszta zgromadzenia, chłopcy, starsi mężowie, niewiasty i dzieci stali na boku, przypatrując się i słuchając pieśni.

Byli tam ludzie z pod Sandomierza, z pod Wiślicy i z pod Krakowa, wielu zaś było, o których nikt nie wiedział z kąd przyszli i żadna gromada do nich się nie przyznawała.

Gdy już wszystkie pieśni zostały odśpiewane, zwalono bałwana Marany na ziemię i powleczono do pobliskiego potoku, by go tam utopić, śpiewając przy tem odwieczną pieśń:

„Śmierć się wijąc u płotu, szukając kłopotu i. t. d.”

Dzika jakaś, do szału posunięta radością ogarnęła te tłumy, które z wściekłością szarpiając, ciągnęły bałwana; dziewczęta z krzykiem obdzierały go z ozdób, a wszyscy obecni, zaprzęgnięszy się doń, wlekli po murawie.

Gdy go wreszcie pograżyli w wodzie, zaczęli uciekać ztamtąd śpiesznie strzegąc się jednak pilnie, by nie upaść, co byłoby przepowiednią śmierci w ciągu roku.

Zima już została utopioną, nastąpiło królowanie wiosny hożej, która mai pola i lasy i budzi tęskność w młodem ser-

\*) Bielski.

cu, nie wiedzieć dla czego; wiosny - czarownicy psotnej, która każe kukułce smętnie się odzywać, słowikowi po nocach zawodzić, a duszy ludzkiej pragnąć czegoś nieznanego.

(d. c. n.)

## ZE ŚWIATA.

Przestrzeń i zaludnienie ziemi. — Ostatnie obliczenia. — Deszcz pyłu. — Połów w morzu Czerwonym. — Nowe wyprawy podbiegunowe. — Hotel karłów.

Ostatnie obliczenia, dokonane przez prof. Ravensteina, członka królewskiego Towarzystwa geograficznego w Londynie, stwierdzają, iż pięć części świata mają powierzchnię 133 milionów kilometrów kwadratowych, nie licząc przestrzeni podbiegunowych. Z tego przypada 89 mil. kil. kw. na ziemię uprawną, 40 mil. kil. kw. na ziemię nieuprawną i 4 mil. kil. kw. na pustynie. Europa ma 367 milionów mieszkańców, Azja 890, Afryka 200, Ameryka 126, Oceania 40 milionów; razem tedy kula ziemiska ma 1623 milionów mieszkańców.

W lutym r. b. bardzo obfity deszcz pyłu opadł na wodach Atlantyku południowego, na zachód od Afryki. Parowiec „Roslyn Castle”, napotkał tę chmurę i na przestrzeni 1,200 km. pokład jego wciąż był pyłem zasypywany. Kurz tak gęsto się unosił, że tworzył mgłę nieprzerwaną, złożony zaś był z nader drobnych płytek kwarcu i czarnej miki. Nie znaleziono w nim zgoła cząstek zeszlonych, ani żadnych innych śladów pochodzenia wulkanicznego, a według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodził on z pustyni Sahary. W tym czasie srożyły się burze w Algeryi, one to zapewne uniosły ten obłok piaszczysty. Znane są zresztą przykłady przenoszenia piasku na odległości znaczniejsze jeszcze; deszcze pyłu pochodzącego z Sahary spadały na wyspach Kanaryjskich, a dochodziły nawet do Boulogne sur mer.

Komendant okrętu Yang-Tsé, nadesłał akademii nauk w Paryżu wiadomość, że podczas przepływu przez morze Czerwone załoga okrętu schwytała olbrzymią rybę, która stawiała tak znaczny opór, że gdy ją ciągnięto, dało się natychmiast dostrzedz zmniejszenie szybkości statku! Starano się wyciągnąć ją na pokład, ciężar jej wszakże tak był znaczny, że łańcuch się zerwał, pozostawiono ją więc w wodzie, przywiązaną do przodu okrętu. W Dżibuti znalazł się lekarz, który poznał, że mniemana ta ryba była, zwierzęciem z rzędu wielorybów, a mianowicie krową morską (Manatus) z rodzaju dugon (Halicore dugong), który niegdyś pospolity był w morzach indyjskich, od stu lat już wszakże uważany za gatunek zaginiony.

Kapitan Bernier przedstawił Towarzystwu geograficznemu w Kwebek projekt podróży podbiegunowej, którą wkrótce ma podjąć. Zamierza on najpierw udać się okrętem aż do punktu, położonego na północ Syberyi, gdzie okręt Nansena, „Fram”, przesunął się przez równoleżnik 80° szerokości. Tam opuści okręt i w dalszą podróż uda się po lodzie w towarzystwie 80 ludzi, 50 psów i 50 reniferów, zabierając zapas żywności na dwa lata. Wyprawa nadto posiadać ma łyżwy „ski”, kajaki oraz statek przenośny, zbudowany z glinu i drzewa. Kapitan Bernier jest pełen otuchy i sądzi, że w ciągu stu dni zdoła dotrzeć do bieguna, z kąd wróci przez Spicberg lub ziemię Franciszka-Józefa. Wyprawa wyruszyć ma już w czerwcu z Wiktoriji, by przez cieśninę Berynga dopłynąć we wrześniu do wsp. Syberyjskich.

W tymże czasie udaje się w tamte strony i Walter Welman, który przewozi kilku Szwedów, zamierzających poszukiwać śladów aeronauty Andrégo; poszukiwania te, które prowadzić mają kosztem króla szwedzkiego, rozpoczną od ziemi Franciszka-Józefa.

W mieście White-Plains w stanie New-York znajduje się hotel w którym czynni są tylko karły, a i gospodarzami jego są mister i madame Dot, również karły; zanim zostali właścicielami hotelu, pokazywali się w cyrku. Mister Dot liczy lat 32 i jest wysokości 77 cm., żona jego jeszcze mniejsza, trzyletni zaś ich synek ma wysokości 40 cm. Cała służba: kucharze, służące i t. p., nie dochodzą wyżej metra wysokości.

## Niebo w Czerwcu.

W pogodne choć krótkie noce czerwcowe, można obserwować ważniejsze gwiazdozbiory, ale słońce zachodzi tak późno, że już sen zaczyna mroczyć powieki, kiedy się ściemni zupełnie. W dniu 21 czerwca (początek lata) słońce świeci najdłużej, bo przez 16 godzin i 46 minuta na tak zwanem kole biegunowem, które przechodzi przez północny kraniec Norwegii, słońce dnia tego zupełnie nie chowa się za horyzontem i świeci nawet o północy. Ale jest to dzień przełomowy, odtąd noce zaczynają się z kolei przedłużać.

Z planet oglądać można w tym miesiącu tylko Wenerę, Jowisza i Saturna. Pierwsza z tych planet widzialną jest przez dwie godziny po zachodzie słońca, a wydaje się dosyć dużą, bo widać  $\frac{4}{5}$  części jej tarczy. Posuwa się ruchem prostym w gwiazdozbiorach Bliźniąt i Raka.

Nów księżycy przypada 19 czerwca, pierwsza kwadra 27-go.

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** Klementyna z Tańskich Hofmanowa (z portretem). — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Pod stropem cyrku (z ryc.) Kościół św. Antoniego w Padwie (z ryc.) — Obrońcy bogów przez M. Łopuszańską. — Niebo w Czerwcu. — Ze świata. Dodatek: Kolczaste zwierzątko (z ryc.) — Miłosierdzie, komedyjka w 1-ym akcie. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



# WIECZORY RODZINNE



## KOLCZASTE ZWIERZĄTKO.

— Co to za kula kolczasta, mamó, niby kłębek spilkami napchany a tak się porusza, jakby w nim jakie żywe siedziało zwierzątko.

— Nie mylisz się, Józiu — odpowiedziała mama — ten kłębek kolczasty to jeż, o którym już nieraz słyszałeś. Zobaczysz go wkrótce, jeśli chwil kilka stać będziesz spokojnie, nie robiąc najmniejszego hałasu.

Józio posłuchał mamy, czekał cierpliwie i wkrótce ujrzał, jak z pod kolczastej powłoki jeż wysunął pyszek ryjkowato podłużny, i na krótkich, pięciopalcowych, w pazury uzbrojonych nóżkach zaczął posuwać się zwolna.

Józio przypatrywał mu się ciekawie.

— Jakież to osobliwe zwierzątko! — mówił przyciszonym głosem — na co mu te gęste i ostre kolce przydać się mogą?

— Służą mu, jak rycerzowi, pancerz do obrony — tłumaczyła matka — zaraz się o tem przekonasz.

To rzekłszy, przywołała Kruczka, psa podwórzowego. Jeż dostrzegłszy zdala grożące mu niebezpieczeństwo zwinął się zaraz w kłębek, nadstawiając ostro kłujące kolce, tak, że pies warcząc i skacząc dokoła, obwąchiwał wroga, nie śmiał go jednak dotknąć.

— Widzisz Józiu — zauważyła matka — jak to Opatrzność nawet takim małym stworzeniom, daje środki

obrony wobec licznych jego nieprzyjaciół. Rzadko które ze zwierząt drapieżnych z jeżem w kłębek zwinęty, poradzić sobie może; jeden tylko wśród czworonożnych, borsuk, nie obawia się tych kolców, a wśród ptaków pułacz, potrafi zadusić go szponami i zjeść do szczytu, że tylko skóra kolczasta pozostaje.

— A jeż czem się sam żywi? — pytał Józio.

Nocą wychodzi zwykle na zdobycz, chwytając jaszczurki, żaby, myszy, chrabąszcze i t. p., tępiąc w taki sposób domowych i ogrodowych szkodników. Długi czas przypuszczano, że jeż żywi się roślinami, że zbiera jabłka, nadziejąc je na kolce gdy tarza się po ziemi, przekonano się jednak, iż było to błędne mniemanie, stąd prawdopodobnie powstałe, że, jak widzimy na dołączonej rycinie, tych jego kolców czepiają się różne, napotymane przypadkowo rośliny.

— Gdzie jeża najłatwiej znaleźć można? — pytał dalej Józio.

— Jest on pospolity w całej Europie; w dzień ukrywa się w gąszczu lub pod kupkami gałęzi; z mchu i liści urządza sobie wygodne legowisko, w którym w porze zimowej na czas dłuższy zasypia, budząc się dopiero w ciepłych dniach kwietnia do życia.

— Więc jeż człowiekowi nic złego nie wyrządza? — zagadnął Józio.

— Przeciwnie, moje dziecko, niewinne to zwierzątko tępieniem rzeczywistych szkodników pożytek ludziom przynosi, a lekkomyślnem niszczeniem go sami sobie krzywdę wyrządzamy.

## MIŁOSIERDZIE.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W 1-ym AKCIE

przez

Ignacego Szabowskiego.

(Dokończenie).

NINKA.

Dokończ, Stefcu, mi do uszka,  
Coś przed chwilą powiadała.  
Co to była za staruszka,  
I dziewczynka, Józia mała?

STEF CIA.

Staruszcza niewidoma,  
Już nie trafi słonko Boże

Do jej oczu — w głodzie, w morze  
Od doma chodzi do doma.  
Po ulicach zaś prowadzi  
Wnuczka Józia ją za rękę,  
A gdzie przyjdą, to im radzi,  
Bo śpiewają Bożą Mękę.  
Każdy chętnie je zaprasza,  
A pieniędzy da potrosze,  
I Marynka nawet nasza  
Dała starej cztery grosze.

LEON.

A, nieprawda, bo aż ośm.

STEFCIA. Cztery.

LEON. Ośm.

STEFCIA. Cztery.

LEON. Ośm.

NINKA (*do Leona*).

O nic pana my nie prosim!

Lepiej zostaw nas w spokoju.

LEON (*ironicznie*).

Zobaczmy, jak też długo

Z uniożonym waszym sługą

Trwać będziecie w srogim boju!

NINKA (*do Stefcia*).

Więc staruszka to uboga?

STEFCIA.

Ubożuchna, jak te dziadki,

Co u kościelnego proga

Wyciągają dłoń po datki.

NINKA.

Czemuż Bozia jej w potrzebie

Nie pomoże? w takiej nędzy?

Wszakże Pan Bóg ma tam w niebie

Dużo, o dużo pieniędzy?

STEFCIA.

Chyba posag roztrwonila,

Jaki Bóg panienkom zsyła,

Kiedy za mąż się wychodzi.

LEON.

Czy ty myślisz, że to z nieba

Złoty deszcz pieniędzy spada?

Pracę tylko Bóg nagrodzi.

Pracuj, jeśli ci potrzeba,

Nie pracujesz, trudna rada,

Będziesz biedny! mówi tatuś.

NINKA.

Co innego mówi tatuś:

„Moje dziecko, tu, na ziemi

Płaczą łzami gorącemi,

Nieszczęśliwych jest tak wiele,

Że na każde cztery świątki

Ledwie jedno jest wesele.”

Stefciu! czy ty nie masz chętki

Dać jej datek choć niewielki?

STEFCIA.

Jabym... jabym... jabym dała,

Lecz wydałam na karmelki,

Gdybyś, Ninko tak zechciała

Mi pożyczyć — czterdziestówkę,

Albo, albo choć złotówkę.

NINKA.

Oddasz?

STEFCIA.

Oddam. Jak mamusię

Kocham, oddam. Wszakże dziadzio.

Dał mi coś na imieniny.

LEON.

Mnie też pożycz!

NINKA.

Ty złośniku!

LEON.

Ja przeproszę już Stefunię,

A dać muszę. (*całuje Stefcia*).

STEFCIA.

Szkaradniku!

LEON.

Wnet ci oddam. Wszakże babcia

Da mi coś na urodziny!

STEFCIA.

Daj mu, Ninko! Poproś Niny!

NINKA (*daje Leonowi i Stefcia*).

No masz! macie po złotemu,

Złoty tobie, złoty jemu!

A ja resztę dam babinie

(*do lalki*).

Lalu, ty pozwolisz Nince. (*wchodzi Tolo*).

TOLO (*zdaleka woła*).

I mnie także daj pieniędzy!...

NINKA (*daje Tolowi*).

Masz dziesiątkę. Chodźmy prędzej.

NINKA, LEON I STEFCIA (*razem*).

Chodźmy, chodźmy!

(*Wybiegają. Nina powraca od drzwi na chwilę do lalki*).

NINKA (*sama*).

Moja lalu,

Ty się gniewasz, moja lalu,

Że po twojej już zabawie,

Że sukienki ci nie sprawię,

W starej chodzić ci wypadnie.

(*pauza*).

E! i tak ci będzie ładnie!

(*machnąwszy ręką wybiega*).

## KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

I marzyła o sposobności spleatania im kiedy potężnej psoty.

Pewnego dnia Jagusia płakała znowu w kuchence, kiedy wprost naprzeciw okienka usiadł śnieżnopióry gołąbek.

— Czego płaczesz dziewczeczko? — zagruchał.

— Płaczę, bo niema nieszczęśliwszej istoty ode mnie — odpowiedziała i bezładnie mówić gołąbkowi zaczęła, jak jej tu smutno i źle.

— Powiedz mi dziewczeczko — rzekła ptaszyna — czyś ty zawsze dla wszystkich dobra była i uprzejma?

— Była w naszym domu sierotka Halinka — odparła, spuszczając głowę Jagusia — tej nieraz dokuczałam.

— Czyś jej nie wymawiała, że jest na łasce?

— Owszem, bardzo często.

— A przecież ona pewnie nie ze zbytków, ale z miłości przyjmowała wasze dobrodziejstwa.

Jagusia westchnęła, rozbudzone sumienie przypominać jej zaczęło mnóstwo okoliczności dotyczących się Halinki, z których wynioskowała, że jej nie było lepiej w Leśniczówce, niż Jagusi teraz w dębie, a w takim razie nie było co wymawiać.

— Czyś się na nią nigdy nie skarżyła, czyś jej nie obmawiała? — pytał dalej gołąbek.

— O nieraz, jak byłam rozgniewana — szepnęła cicho dziewczynka.

— Czyś nie zabierała jej rzeczy, wiedząc, że się nie będzie skarżyć, czyś jej nie dokuczała, wiedząc, że się nie może bronić?

— Owszem, zdarzało mi się to nieraz — odparła ciszej jeszcze Jagusia.

— Czyś jej nie wyzyskiwała i nie wyręczała się nią?

Jagusia już nic nie odpowiedziała, tylko zapytała nieśmiało:

— Skąd ty wiesz o tem wszystkim, gołąbku?

— Fruwałem nieraz po lesie i widywałem was razem. Tyś nigdy nie pomyślała jak było ciężkie, dzięki wam, życie tej biednej sierotki. Widziałem nieraz jak usiadłszy pod drzewem, zalewała się gorzkimi łzami; ty zaledwie parę dni tu jesteś, a już wytrzymać nie możesz, a od wielu to miesięcy ta biedaczka znosić musi wasze przykre obejście.

— Oh, ja nie myślałam, żeby jej było tak źle — szepnęła dziewczynka.

— Rozumiesz to dopiero teraz, kiedyś sama bieda zakosztowała, o ileż by to lepiej było, gdybyśmy częściej myśleli o tem, co drugim może zrobić przykrość, czy ciebie więc niesłusznie spotyka kara? Ale taką karę najlepiej przyjmując z pokorą i skorzystać z niej, aby się poprawić.

Gołąbek odleciał, a Jagusia zaczęła się zastanawiać nad jego słowami.

— Prawda, życie Halinki musiało być bardzo ciężkie, a mimo to, jaka ona zawsze była słodka i cierpliwa, jak się starała przejednać je swoją dobrocią, jak im zawsze chętnie pomagała, płacąc ciągle dobrem za złe..

Myśląc o tem wszystkim, dziewczynka zalała się łzami szczerego żalu.

— Jak wrócę do Leśniczówki — powiedziała sobie — przeproszę Halinkę i będę inną, Elżbietce też wytłomaczę, żeśmy źle postępowały. A dla Kory i Szyszki postaram się być taką, jak Halinka dla nas.

## VI.

### Królestwo grzybków.

Kiedy Halinka otworzyła oczy, uderzył ją nowy, a niespodziany widok. Leżała na noszach, zasłanych

mchem, niosło ją czterech karzelków, ubranych w szare odzienie i nadzwyczaj duże brązowe kapelusze. Wiele takich małych istot otaczało ją i podążało za noszami, a wszystkie albo miały ogromne kapelusze: czerwone, brązowe, białe, żółte, albo też tuliły się pod parasolami różowemi, zielonemi, czerwonemi i t. d. Tak, że cały pochód wyglądał jak gdyby gromada grzybów najrozmaitszych, oderwała się od ziemi i szła, kołysząc się i kiwając na wszystkie strony.

— Co się ze mną dzieje? — myślała Halinka.

Kilkanaście większych i strojnie ubranych grzybów jechało przodem na zajęczach, a wśród nich wyróżniał się, górujący wzrostem nad innymi, jeden grzybek ubrany w czerwień i perły, siedzący pod baldachimem. Pochód odbywał się przy świetle księżycy, noc była widna, orszak posuwał się szybko.

Halinka przymknęła oczy i wpadła w jakieś półsenne odrętwienie.

Po dłuższej chwili uczuła, że niosący nosze zatrzymali się, że ją zdejmują, przenoszą i kładą na miękkie posłanie.

Kiedy się obudziła powtórnie, był już dzień, leżała we wspaniałej komnacie na posłaniu z aksamitnego mchu, nad nią stały dwie małe dziewczynki, jedna w zielonej, druga w czerwonej sukience.

— Gdzie ja jestem? — zapytała Halinka.

— W królestwie grzybków — odpowiedziała Zielonka.

— Jakimże sposobem dostałam się tutaj?

— Król nasz wracając wczoraj od swego przyjaciela księcia wrzosów, znalazł cię leżącą bez przytomności i kazał cię przynieść tutaj. Jeśli chcesz wstać, szaty dla ciebie przygotowane. Król pragnie cię uważać za swego gościa, jest on bezdzietny i stary, a bardzo dzieci lubi.

Halinka zdziwiona przyjemnie, ubrała się w śliczne aksamitne szaty i dała się poprowadzić do króla, który ją przyjął bardzo łaskawie.

Pałac królewski był wspaniały, choć niezbyt wysoki, otoczony lasem, rzeką i ślicznymi polankami. Uwijało się w nim mnóstwo służby i dworzan, którym nadawano imiona od kształtu kapeluszy.

Kraśniak i kozaki stanowiły służbę domową, rydze były gwardyą, gołąbki i zielonki pełniły obowiązki paziów i panien służebnych, borowiki czyli grzyby stanowiły arystokrację rodową, a muchomory pieniężną, ale na tych krzywo patrzano i rozmaicie o nich po cichu mówiono.

Państwo było zasobne, dwór bogaty, król ogólnie kochany.

A ten od razu polubił Halinkę. Dziewczynka oczarowana była i ucieszona wszystkim co widziała, tak tu pięknie było i wesoło, wszyscy tak grzeczni i uprzejmi byli dla niej.

— Zostań ze mną, dziewczeczko — mówił król — przybiorę cię za córkę i będziesz moją dziedziczką, postaram się, aby ci dobrze było u nas.

I Halince dobrze było bo nikt jej nie dokuczał, nikt jej nie wymawiał, że jest na łasce, przeciwnie wszyscy ubiegali się o jej względy i starali się jej dogadzać.

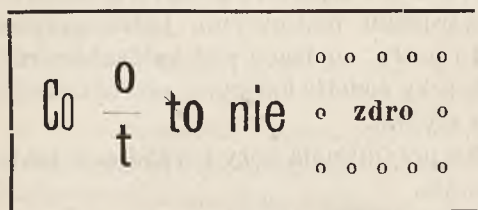
(d. c. n.)

## SZARADA.

*Pierwsze* przeczy, a *drugie* swe wody wspaniale,  
Rozdwojonem korytem zlewa w Renu fale.  
*Wszystko* wraz jest to rzeka, której wód bieg rączy,  
Z poezją i pieśniami w pamięci się łączy,  
Pełna wdzięku po brzegach w urodzie prostaczej,  
A przy ujściu do morza zowią ją inaczej.

## REBUSIK.

Od Aleksandra W. dla Mani i Wańdzy Z.



## ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go

*Szarady:* Mu — cha — wiec.

### Arytmogryfu:

- 1) Ojcw. 2) Morea. 3) Narew. 4) Ocean. 5) Chiny.  
6) Kijów. 7) Żmija. 8) Opole. 9) Zebra. 10) Wcale. 11) Oczo.  
12) Niger.

(Imię i nazwisko Ojca św. Leona XIII). Joachim Pecci.

### Łamigłówki w trójkącie:

S a h a r a  
A t e u y  
H u t a  
A a r  
R e  
A

## Skrzynka do listów.

PP. Anieli i Stanisławowi S. Przyznaną nagrodę małeńka ich córeczka zasłużyła w zupełności, mimo tego radość jej wielce nam jest miłą. Za pomyłkę drukarską w sprawozdaniu konkursowym w nazwisku Irenki Straszewskiej, przepraszamy.

Skoro **Leśna Malina** jest stałą czytelniczką Wieczorów, mamy nadzieję, że będzie też stałą naszą korespondentką, i również brać będzie udział we wszystkich konkursach, ku czemu szczerze ją zachęcamy. Rozwiązanie łamigłówki dobre, zagadka wszakże nie nadaje się do druku.

Zwracamy uwagę korespondentów na często zdarzające się w ich listach błędy w użyciu przypadków. Tak więc nie należy pisać lub mówić: posyłam *dwie marek* lecz *dwie marki*; liczby bowiem dwa, trzy i cztery rządzą 4-tym przypadkiem, gdy następne dopiero wymagają 2 go przypadku, a więc będzie już pięć, sześć, siedm i t. d. *marek*.

Miło nam, że wiadomość o przyznanej nagrodzie tak bardzo ucieszyła **Tadzio Las.**, a jeszcze przyjemniejszą jest obietnica do-

kładania starań, by pismo jego coraz lepsze było, taki bowiem, jest właśnie cel, ogłaszanego przez nas konkursu. Z zajęciem też prawdziwym śledzić odtąd będziemy postępy w tym kierunku wszystkich korespondentów naszych, prosząc o częste liściki.

Nagrodę **Jerzemu Sar.** wysłano. Przyjemność, jakiej doznał z tego powodu, ucieszyła nas bardzo.

Zapewne przez nieuwagę *autor* jednego z nadesłanych logogryfów nie podpisał się wcale, czem oczywiście pozbawia się przyjemności, jakaby mu niezawodnie sprawiło podanie jego nazwiska przy wydrukowanej łamigłówce.

Rozwiązanie arytmogryfu nadesłane przez **Kadłubka** jest dobre. Zwracamy wszakże uwagę, że na listy zamknięte miejskie nakleja się markę 3 kopiejkową, a nie dostateczna jednokopiejkowa marka, naraża redakcyę na karę podwójnej opłaty.

Za list i udzielone nam szczegóły odbytej podróży, dziękujemy **Aleksandrowi W.**, a prosząc o następne wiadomości przesyłamy życzenia, by pobyt w R. był mu jaknajprzyjemniejszy. Łamigłówka nie nadaje się do druku.

Łamigłówki układu **Fiołka i Stokrotki, Tadzia W., Giermka, Ułana, Mani Z., Wierzy i Konrada,** odebraliśmy, dobre rozwiązania nadesłali: **Miraż, Słoń z Nubii, Czarnuszka i Bielasek, Smok i Giermek.**

Przyznanie się do winy, bywa zwykle zapowiedzią poprawy i tej spodziewam się mieć dowody w postaci częstych liścików od **Lusi z Bohajówki.** Za pamięć o dzieciach z kolonii letnich i przysłane dla nich rub. 3, w ich imieniu serdeczne dziękuję. Bo rzeczywiście na współczucie nasze zasługują w zupełności owe dzieci mizerne i chorowite, z powodu braku ruchu na świeżem, zdrowem powietrzu wiejskiem.

A że ślicznie teraz być musi wśród pól i lasów, nie wątpię do tego stopnia, że i ja sama zamysłam wkrótce tam pofrunąć, i przed odjazdem na czas wakacyjny przesyłam wszystkim moim korespondentom serdeczne pożegnania wraz z życzeniami zdrowia i najweselejszych wakacji, które się lada dzień rozpoczną. Odtąd na wasze odezwy tylko redakcyja odpowiadać będzie.

Dobrze zrobiła **Firlełka**, że zdecydowała się wreszcie należeć do konkursu wypracowań, bo zawsze lepiej późno, aniżeli nigdy, mówi przysłowie. Jaki zaś wypadnie sąd o twej pracy, nie wiem, to tylko rzecz pewna, że sędziowie z wielką względnością oceniają w wypracowaniach przede wszystkim staranność i widne zawsze dążenie ku zdobyciu wyżyn rzeczywistego wykształcenia. Jako nową korespondentkę witam cię z prawdziwą przyjemnością i mam nadzieję, że zawiązaną znajomości zacieśni węzeł przyjaźni, przez częstą wymianę listów. Za udzielone o sobie wiadomości dziękuję i przesyłam pozdrowienia zarówno tobie, jak i siostrze twym i braciom, w których gronie tak ci wesoło życie upływa.

**Szpak z nad Worskły** pisze, że nie czekając mej odpowiedzi na list ostatni, odzywa się znowu. Przypuszczam, że nie czytałeś chyba skrzynki do listów, bobyś tam znalazł odpowiedź na każdy z twych listów, które czytuję z prawdziwym zajęciem i zaraz na nie odpowiadam. Wiosna pobyt na wsi czyni ci teraz o wiele przyjemniejszym, więcej pewno czasu spędzasz na świeżem powietrzu, jak na czytaniu chociażby najciekawszych książek. Donieś mi jaki rodzaj czytania poważniejszy, czy też lżejszy przypada ci więcej do gustu i jakie książki czytałeś tej zimy? Może zbierasz marki, bo mogłabym ci przysłać rzadką markę transwalską z listu jednego naszego korespondenta z południowej Afryki.

*Jaskółka.*

### NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Wala, Stefcia, Zygmus i Wilus Mieszkowscy rub. 1. — M. K. rub. 3. — S. W. rub. 3. — Lunia z Bohajówki rub. 3. — Bezimiennie rub. 1. — Staś, Frania, Maryan z Gródka rub. 1. — p. Anna Biskupska, zebrane z loteryi fantowej rub. 5.

Na Szpitalik dziecinny: Bezimiennie rub. 2.

Na wpis dla ubogiego ucznia: Stefanek Wolbek: rub. 1.